Tom XV. Nr. 18.

21. grudnia 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Św. Mikołaj.

We wsi Soświczy jest szkoła gromadzka bardzo ładna, z ogrodem, sadowiną i pasieką, gdzie dzieci wiejskie uczą się na książkach rozmaitych, a na wiosnę idą po nauce do ogrodu i tam sadzą szczepy, uczą się szczepić, sieją na grzędach różne nasiona: to marchwi, to maku, to pietruszki itd., a znowu jak się w lecie pszczoły roją, to pokazuje sam profesor, jak wyrojone pszczoły zbierać, jak do ula osadzić, potem opowiada jak ule się robią i jakie są najlepsze, a znowu dziewczęta uczą się po nauce szyć ładnie koszule, wyrabiać niciami różne litery na płótnie, albo jakie kwiaty, gwiazdeczki — a to wszystko na to, aby dzieci umiały na książkach dobrze i aby umiały rękami pracować na kawałek chleba.

Otoż tego roku poschodziły się dzieci z Soświczy w sam dzień św. Mikołaja raniutko do szkoły i każde przyniosło w kieszeni jakiś podarunek od św. Mikołaja i zaczęli tam wszyscy szkolarze pokazywać sobie te podarunki od św. Mikołaja z wielką uciechą, aż na to wszedł do izby szkolnej pan profesor i pyta:

— A co to za takie krzyki niepotrzebne?

A dzieci powiadają:

— Bo to prosimy pana profesora dziś św. Mikołaja — każdy z nas dostał jakiś podarunek od św. Mikołaja i każdy to pokazuje drugim i dlatego mamy tyle uciechy teraz.

— A to dobrze! — rzecze pan profesor — ale wy pewnie nie wszyscy wiecie, kto był ten św. Mikołaj i z jakiej to racji jest on u nas Polaków tak lubiony i w każdym domu polskim czczony, a znowu między Rusinami jest on patronem najpierwszym dla nich.

Na to nie odpowiedzieli nic szkolarze, toć pan profesor jął im tak opowiadać:

— Widzicie dzieci! Już to bardzo dawno, bo dobre 1500 lat, jak żyli na świecie rodzice tego św. Mikołaja. A co wam jeszcze dopowiem, że oni nie siedzili nawet w tej części ziemi, gdzie siedzą Polacy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Moskale itd., a co to my nazywamy Europą, ale siedzieli daleko daleko od nas na wschód słonka het! — za Moskalami i Turkami, a my nazywamy tę część całej ziemi znowu Azją. Oni należeli więc do innego rodu ludzkiego, a wtedy rządzili ich krajem poganie Rzymiany i ci poganie zabijali nieraz chrześcian, których było wtedy najwięcej w Azji.

— Toż zmiarkujcie sobie teraz, że i rodzice św. Mikołaja byli ochrzczeni i wierzyli w Pana Jezusa, a mały ich synek Mikołajek chował się przy nich. Ale powiem wam i to jeszcze, że rodzice św. Mikołaja byli mieszczanami, pracowali zawsze uczciwie i sprawiedliwie za życia, lubili dopomagać ubogim, i rękę każdemu podać w każdej biedzie.

A szkolarze poderwali i mówili:

— No! kiedy tak, to pewnie i ten mały Mikołajek był bardzo dobrym...

— Prawdę świętą gadacie, moje dzieci! bo gdzie ojciec i matka są pobożni, miłosierni, pracowici, zgodliwi, tam przy nich rosną ich dziatki na takich samych albo i na lepszych ludzi. A gdzie ojcowie niedobrzy, tam i dzieci wyrosną na takich samych ludzi albo jeszcze gorszych. I mały Mikołajek

był bardzo szczęśliwy z tego, że miał ojca dobrego a matkę jeszcze lepszą.

Toż to od matki pobożnej nauczył się bać zawsze Boga, nauczył się bliźnich kochać i robić im dobrze, nauczył się tak żyć na świecie bożym, aby ani godziny darmo nie zmitrężyć, aby ani godziny na złe nie obrócić, ale aby całe życie robić to, co daje chwałę Bogu, sobie i drugim szczęście i zbawienie wieczne. A wiecie dobrze, czego się Jaś nie nauczy, tego i Jan nie umie, a czego się Jaś wyuczy, to i Jan potrafi. Toż jakim był Mikołajek przy ojcach w domu, takim ba! sto razy lepszym był on na poźniejsze lata.

— No! coż on takiego dobrego potem zrobił? — zapytali szkolarze.

— Pracowici i pobożni ojcowie mieszczanie — rzecze pan profesor — złożyli mu wielki majątek, a jak pomarli, to Mikołajek był dwa razy tak wielkim chłopakiem, jak wy teraz. Ale chodził do szkoły zawsze i opiekun jego dbał bardzo o szkoły dla Mikołajka — pilnował majątku sumiennie, jaki się dostał Mikołajkowi, aż Mikołajek wyszedł na xiędza, odprawił prymicje w domu, a opiekun oddał mu jego majątek i powiada:

— Masz tu xięże pobożny twoją pracę po ojcach, nie brakuje ci tu ani grajcarka jednego, jak stoi w testamencie, a ja oddaję ci to wszystko z ochotą, bo wiem, że na dobre obrócisz, że to zabiorą od ciebie sieroty, wdowy, kaleki albo biedni szkolarze, którzy radziby się uczyć, a nie mają raz jeden z czego żyć.

— A co? dawałże tak ten xiądz Mikołaj ubogim? — pytali szkolarze.

— Oj dawał, dawał moje dzieci! wszystkim bez wyjątku — powiada pan profesor — co miał, to rozdał między ludzi, aby sierotki nie ginęły z głodu, i aby miały się za co uczyć w szkole, a robił on tak, jak to teraz zrobił już niejeden pobożny pan i xiądz polski, który zapisał wielkie pieniądze na dzieci wiejskie, aby za prowizje od tych pieniędzy mogły sieroty i ubogie wiejskie dziatki chodzić do szkoły, aby potem były dobrymi katolikami i Polakami i znowu tak samo pamiętały o sierotach. Toż z takich szkolarzy wyszedł niejeden na dobrego

człowieka! — A co on jeszcze zrobił? jak były gdzie ubogie dziewczątka, to im posyłał albo i ukradkiem przez okno rzucał do izby pieniądze, aby miały na wiano. Toż zmiarkujecie teraz, że tego xiędza Mikołaja lubiły matki pobożne za to, że on tak dbał gorliwie o duszę małych dziatek, że żył jeno dla szczęścia i zbawienia dziatek. A co on dobrego zrobił, to sobie rozpowiadali ludzie daleko i szeroko i prosili za nim Boga.

— Aha! — gadali szkolarze — to to dlatego jest św. Mikołaj patronem małych dzieci, że on tak bardzo lubił dziatki i dopomagał im do dobrego.

— Bardzo dobrze trafiłyście moje dzieci! — rzecze pan profesor — ten św. Mikołaj był ojcem dla wszystkich dzieci. Toż za jego pobożność i dobroć taką wybrali go xięża aż na biskupa w jednem mieście, a dopiero jako biskup rozdawał on cały swój przychód znowu na sieroty i nie zmarnował ani grosza, ale obracał na chwałę bożą i na poratunek ubogich. Ale robił on jeszcze inaczej. Wtedy było chrześcian nie tyle co dziś na świecie — było daleko więcej pogan, którzy takusienko robili z chrześcianami, co robi dziś niedobry moskal z katolikami polskimi.

Toż biskup św. Mikołaj nawracał pogan, a choć mu cesarz pogański rzymski zakazał nawracać i chrzcić, to on powiada:

— Trza prędzej słuchać nakazu bożego niż ludzkiego, a kto raz ochrzczony i uwierzył raz w Pana Jezusa, ten nie może się bać nikogo, ani groźby, ani śmierci za swoją prawdziwą świętą wiarę. I tak dalej robił swoje pocichuteńko, cierpliwie. Ale — jak się o tem dowiedział cesarz pogański Dioklecjan, co to z prostego chłopa został cesarzem, to kazał biskupa św. Mikołaja okuć i wsadzić do aresztu. Ale wiecie dzieci! że kto dobrze robi, ten zawsze zwycięży, toż i biskup św. Mikołaj siedział w areszcie strasznym za to, że robił dobrze, i wyszedł potem z aresztu i znowu dalej robił swoje. A co mu złego narobili poganie, to im tego nigdy nie pamiętał, bo gadał tak:

— Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem, kto ci źle robi, ty proś Boga za nim, aby mu dał upamiętanie i czyń mu zawsze dobrze.

Tak też zrobił raz poganom urzędnikom — tych urzędników obgadał ktoś przed cesarzem i naplotł nieprawdę na nich, ale cesarz nie wiedząc o tem, kazał ich wygnać z urzędu, przez co oni przyszli na wielką biedę. Ci biedacy udali się do biskupa św. Mikołaja o pomoc.

— A czy pomógł on takim niedobrym ludziom? — zapytali szkolarze.

Na to rzecze pan profesor.

— Dobry i pobożny poda każdemu rękę, czy kto dobry, czy zły, bo tak nauczał Pan Jezus, toż i biskup św. Mikołaj prosił za nimi cesarza, udowodnił fałszywe świadectwo i ci poganie urzędnicy dostali znowu urzęda. I wy tak róbcie, dzieci, jak urośniecie. Czyńcie ludziom dobrze, aby oni wam tak czynili. I biskup św. Mikołaj robił tak zawsze aż do śmierci, a za to miał chwałę u Boga i u ludzi, a gdy umarł, został za swoje dobre uczynki świętym patronem dla dzieci i przykładem dla nas wszystkich.

— A gdzież on umarł? — pytali szkolarze.

— On umarł aż w Azji tam, gdzie się urodził i żył tak świątobliwie. I tam był pochowan.

Ale szkolarze zapytali dalej:

— To św. Mikołaj nie żył w naszych krajach?

— A! nie żył on tu nigdy, jak wam już powiadałem. — Jak św. Mikołaj żył w Azji, to nasi pradziadkowie dawni Polacy byli jeszcze poganami w tych krajach naszych. A św. Mikołaja nie była tu nigdy stopa na tej ziemi, ani też wtedy nie znali Polacy nic a nic o św. Mikołaju.

— No! a zkądże wziął się u nas ten św. Mikołaj kiedy on tu nigdy nie był? — gadali szkolarze.

— Opowiem wam i to — rzecze pan profesor. — Nasi pradziadkowie ochrzcili się nie zaraz po śmierci św. Mikołaja. Ale jak się ochrzcili roku 965 toż zostali prędko pobożnymi i prosili Ojca św. aby im dał św. patronów dla kraju. Toż dał im ojciec św. Florjana, od ognia patrona.

Tak samo dał im i tego św. Mikołaja za patrona dla małych polskich dzieci. Widzicie teraz, że ci św. patronowie

urodzili się i żyli w dalekich krajach od nas, a dziś są patronami dla nas, a to na to, aby nam dawali przykład życia i aby za nami prosili Boga.

— Aha! to teraz wiemy o św. Mikołaju — rzekli szkolarze — ale co to są takie podarunki dla dzieci na św. Mikołaja?

— Opowiem wam i to — mówi pan profesor — te podarunki dają wam rodzice na to, abyście były tak miłosiernemi dla drugich, jak był miłosiernym św. Mikołaj dla wszystkich a osobliwie dla sierot, i jak są dobrymi dla was rodzice. Toż u nas jest staropolski zwyczaj, że na św. Mikołaja przebierają się Polacy i chodzą po domach, gdzie są małe dzieci, tam się wypytują co dzieci robią? czy są posłuszne? czy się uczą dobrze? i dobrym dzieciom dają podarunki, a złym zostawiają rózgę. Toż teraz rozumiecie, że św. Mikołaj nie przychodzi tu na ziemię sam do was, ale to są poprzebierani ludzie. A wy dziatki! uczcie się tak, jak św. Mikołaj, abyście były dobrymi urzędnikami, albo xiężami pobożnymi, albo pobożnymi i mądrymi gazdami na wsi.

Xiądz Wojciech z Medyki.

WIESŁAW.

Ułożył Kazimierz Brodziński.

Niedawno temu opowiedział wam xiądz Wojciech z Medyki, kto to był Kazimierz Brodziński i jakie on piękne i mądre rzeczy dla Polaków napisał. Otoż teraz wypisujemy wam tu jedną śliczną powiastkę tego sławnego Brodzińskiego, która ma nazwę *Wiesław.* Nie mogliśmy jej całej wydrukować w „Dzwonku“, bo na to by miejsca nie stało, więc skróciliśmy ją potrosze. Powiastka ta napisana jest do składu wierszem, więc i my ją tak wypisujemy, chyba tam nie, gdzie, jak mówię, trzeba było ukrócić, bo mało miejsca. Posłuchajcież tedy tej ślicznej powiastki.

W naszej Polsce, niedaleko Proszowa żył kmieć Stanisław z żoną Bronisławą. Bóg im pobłogosławił w dobytku, ale za to dotknął ich na ich dziecku jedynem. Mieli oni małą córeczkę,

którą kochali nad życie Naraz wybuchła wielka wojna, nieprzyjacielskie wojsko spaliło wioskę, w której żyli Stanisław i Bronisława, a wśród zgiełku i pożaru zniknęło im gdzieś bez wieści dziecię jedyne i ukochane. Daremno szukali po całej okolicy, dziecko zginęło bez śladu. Nie było innej rady jak zdać się na świętą wolę Bożą — gdy naraz umarł sąsiad Stanisława i zostawił sierotkę, małego synka Wiesława. Stanisław był przyjacielem zmarłego a przytem miłosiernym człowiekiem, więc uradzili z żoną aby przyjąć sierotę Wiesława za własne dziécię. Jakby w nagrodę za ten dobry uczynek urodziła im się wkrótce znowu córka. Gdy Wiesław już urósł w parobka a córeczka Stanisławów miała już lat dwanaście, umyślili Stanisławowie tak, aby po kilku latach, gdy ich córka dorośnie, wydać ją za sierotę Wiesława, którego jak syna pokochali.

Był bo też ten Wiesław chłopiec dzielny i zacny jak mało. Pilny był i pracowity, dobry i bogobojny, choć nieraz poswawolić lubiał jak zwykle młodzi. Bywał i Wiesław szpakiem pokryjomu: zajechać drogę choćby wojewodzie, rej nad muzyką prowadzić w gospodzie, z karczmy rozpędzić cesarskie wojaki, wyśmiać nadwornym góralom chodaki — to były nieraz jego obyczaje. Młodemu wszystko zarówno się zdaje — bo jak na wiosnę pędzi potok w biegu; pieni się, szumi i wylewa z brzegu, aż dalej cicho płynie w swem korycie, — tak młodzian siłą obdarzon obficie, musi wyszumieć, aż w troskach stateczny, jak jabłoń z czasem traci kwiat zbyteczny.

Otóż jednego razu ów kmieć zacny Stanisław z żoną wyszedł z komory i wniósł do izby dwa z pieniądzmi wory, czterysta złotych ułożył na ławie i tak powiada:

— Zabierz to Wiesławie! Jedź do Krakowa a za te talary kup mi dwa konie i wybierz do pary! Mnie schyla niemoc i wiek nieużyty, nie mam z chudobą poufać się komu, ty prawą ręką jesteś w moim domu, a skoro pomrę, tyś rodziny głową, jeźli daj Boże córka się uchowa, ma lat dwanaście, nie skąpo urody, możesz jej czekać, sameś jeszcze młody.

Wiesław obojgu kornie ścisnął nogi i pojechał według woli swego dobrodzieja do Krakowa, tam krótko się bawił i dobrze się sprawił.

II.

Już wonny wieczór uśmiechał się ziemi — gdy Wiesław wracał z końmi kupionemi. Droga go wiodła przez jedną wioskę, a tu z tej wioski rozlega się granie, słychać wesołe pląsy i spiewanie, biją drużbowie w podkówki ze stali, a gdy Wiesława mile powitali; tak rzekł starosta, zarządzca wesela:

— Dobrze to w każdym zyskać przyjaciela! Witajcież do nas wy z proszowskiej ziemi! Nie chciejcie gardzić dary ubogiemi!

Wiesław usłuchał radośnie zaprosin i wstąpił do Krakowiaków na wesele. Było tam dziewcząt pięknych bez liku, ale najpiękniejszą była Halina, drużka weselna. Jeno Wiesław spojrzał na nią, zaraz serce jego do niej miłością przylgnęło. Gdy przyszło do tańca, Wiesław wybiera sobie Halinę.

Naprzód wychodzi, przed Haliną staje, Halina w pląsach rękę mu podaje. Za nim się w koło młodzieńcy zebrali — nucą i biją w podkówki ze stali. Wiesław się za pas ujął ręką prawą — przewyższył wszystkich poważną postawą — w skrzypcy i basy sypnął grosza hojnie — ojcom za stołem kłaniał się przystojnie — i tupnął, głowę nachylił ku ziemi, i zaczął spiewać słowy takowemi:

Niechże ja lepiej nie żyję
  Dziewczę, skarby moje!
Jeśli kiedy oczka czyje
  Milsze mi nad twoje!
Patrzajże mi prosto w oczy,
  Bo widzi Bóg w niebie,
Że mi ledwie nie wyskoczy
  Serduszko do ciebie!

Bierze Halinę i tak w około przodkując drużbom, tańczy wesoło, a gdy ku skrzypkom znowu powróci, staje i w tańcu tak dałej nuci:

Czemuż ja w proszowskiej ziemi,
  Małe zaznał dziecię,
Byłbym między Krakowskiemi,
  Najszczęśliwszy w świecie!

Krew nie woda, ludźmi włada,
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek pragnie i układa,
A wszystko Bóg sądzi!

Halina w pląsach przed nim ucieka — on w ręce pleszcząc goni zdaleka, a gdy dogoni, z ujętą wróci — staje i w tańcu tak dalej nuci:

Nie uciekaj ptaszku luby
Moje stotysięcy!
Dogonię ja mojej zguby
I nie puszczę więcej!

Teraz sam znowu przed Haliną stroni, a ona za nim poskocznie goni — i dogoniwszy, gdy znowu wróci, staje i w tańcu tak przed nią nuci:

Gospodarzu nie dasz wiary,
Jak konie opłacę,
Wydałem ja twe talary
Moje serce tracę!
Grajcie skrzypki, bo się smucę,
W opłakanym stanie,
Z konikami ja powrócę,
Serce się zostanie!

Długo się Wiesław gościnnie weselił — już się też dzionek nad górami bielił — pożegnał wszystkich w zasmuconym stanie, wciąż mając w uszach i spiewy i granie, w sercu niespokój, a myśli jedynie, krążą niewolne przy pięknej Halinie.

III.

Z tęsknym sercem wracał Wiesław do domu.

Pospieszał szybko i lasem i polem, ale się ostać nie może przed bolem — bo gdy choć jedna chęć w sercu osiędzie, daremny namysł i rozsądek będzie. Przeto co myślał, co czynić przystało, stanowi wyznać otwarcie i śmiało.

Wiesław widząc już teraz, że nie może ożenić się z córką swego dobroczyńcy, postanowił powiedzieć Stanisławowi, że pokochał inną dziewczynę, i że jego zięciem być nie może, a potem umyślił pójść gdzieś hen w świat daleki...

Gdy go Stanisławowie witają serdecznie i pytają czemu taki smutny, on tak rzecze:

— Czemużem w domu nie został na wieki, wdzięczen łask tylu i waszej opieki! Przy waszym pługu chodziłbym spokojny — anibym zaznał trudnej z sercem wojny! Lecz darmo człowiek sam o sobie radzi — inaczej myśli Bóg o swej czeladzi!

I Wiesław powiada Stanisławowi, że przylgnął sercem do Haliny i że z jego córką już żenić się nie może. Oto tak mówi:

— Poznałem druchnę, której wdzięk uroczy zabrał mi serce i zniewolił oczy — i tyle sprawił, że odtąd jedynie, sercem i duszą jestem przy Halinie! Ojcowie moi już królują w niebie, wyście sierotę przyjęli do siebie, nie żałowali ni trosków ni chleba, uczyli pracy i bojaźni nieba. Dziś jedynaczkę w swojej własnej chacie dla mnie w zamężcie i z wianem chowacie.. Puśćcie mnie puśćcie z rękoma gołemi — pracować będę pomiędzy obcemi; bo bez Haliny nic już nie zarobię, niezdatny ludziom i niemiły sobie! Prędkobym znalazł koniec życiu memu, pobłogosławić chciejcież ubogiemu, bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni, kogo przekleństwo dobroczyńców goni!

Żałośno i markotno zrobiło się na te słowa Stanisławowi! Oni cieszyli się zawsze tą myślą, że córka ich jedyna będzie szczęśliwą za Wiesławem — a tu tymczasem Bóg chciał inaczej. Rozgniewał się zrazu Stanisław i wyrzucał niewdzięczność Wiesławowi, ale pomodliwszy się i poradziwszy z mądrym sąsiadem Janem, pogodził się z wolą nieba, przemógł żal w sercu i rzecze do Wiesława:

— Dawno już bardzo były myśli moje, bym was przy sobie połączył oboje — ażeby matka kiedyś po mej stracie, teściowej w obcej nie służyła chacie. Lecz myśli niczem, gdy Bóg nie dozwoli — przeto Wiesławie oddaję twej woli! Uprośże Jana, niechaj zacznie swaty, jak syn synową przywiedź mi do chaty!

Tak to sobie szlachetnie postąpił kmieć Stanisław.

IV.

Zaraz też na drugi dzień wybrał się Wiesław z mądrym sąsiadem Janem na swaty do matki tej pięknej dziewoji Haliny.

Jan ten był sąsiad cnotliwy i prawy, zdolny do rady, dobry do zabawy — a że za stołem nie jednym już siadał, jak mądrze myślał tak i prawdę gadał.

Przyszli Jan z Wiesławem do chaty Haliny i tu zaspiewali spiewkę taką:

Kwiatami grzęda osuta
Kwitnie rozmaryn i ruta,
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży!
Przyjdzie młodzian z obcej błoni,
Ojcu matce się pokłoni,
Zerwie panna swoje kwiaty
Do teściowej pójdzie chaty!
Raz ostatni rozmaryny
Uwieńczycie skroń dziewczyny,
Zielona ruto na grzędzie,
Nikt cię polewać nie będzie!

Schludna chata choć uboga
Za rządnością pomoc Boga
Skaczy sroka na jaworze
Panna stroi się w komorze,
Otwierajcież, przyszli goście!
I uprzejmie w dom zaproście,
Chociaż obcym bądźcie radzi,
Dobra nas tu myśl prowadzi!

Wyjrzała oknem od kądzieli matka -- skrzypła zapora, otwarła się chatka. Wszedł Jan sędziwy, Wiesław okazały, głową wyniosłą dosięgał powały, a wdowa rzekła:

— Witajcie nam goście! Siądzcie i z Bogiem dobrą wieść przynoście!

Z komory wyszła Halina z rumieńcem, skłoniła głowę przed znanym młodzieńcem.

Wtedy mądry Jan dobył swą flaszkę z napojem, oświadczył wdowie, matce Haliny, że ją Wiesław prosi za żonę i zapytał Haliny, czyli temu rada. Zawstydzona dziewczyna nie mogła się zaprzeć, więc pyta Jan matkę, czy się zgadza.

Powiada wdowie Jan, że Wiesław choć sierota, będzie miał dobytek, mówiąc:

— Poczciwych ojców widzicie tu syna, chociaż pod ziemią spi jego rodzina, ma przecież ojców, co litością zdjęci, mając kumostwa powinność w pamięci — nie żałowali dla sieroty chleba — uczyli pracy i bojaźni nieba. Sprawiał się godnie, że go synem zowią, w części chudobę dla niego stanowią. Nie jest ci u nich gospodarstwo liche, praca sierpowa nie idzie pod wichę. Czystą pszenicę niesie czarna rola, wełniste owce zabielają pola, w schludnych stajenkach bydełko się chowa a cztery konie jeżdżą do Krakowa. Z ich to poręki ja do was przychodzę: poznał się Wiesław z Haliną na drodze, jak pewno wiecie; i ojcom wyjawił, że swoje serce w jej sercu zostawił.

Halina jeszcze bardziej pokraśniała, a wdowa widząc, że się jej dusza skłania do Wiesława, wykrywa teraz, że Halina nie jest jej córką, ale przybraną sierotką. Kiedy wojna wrzała w tych stronach, dziecię jakieś zabłąkało się do niej, a ona je wzięła z litości i wychowała, tem dziecięciem jest Halina. Rzecze tedy wdowa do swata Jana.

— Gdy wróg się zaciął na tutejszą stronę — szedł mój mąż także na wspólną obronę i już nie wrócił. Wrogi bez litości, grabili dwory zapalali włości, doznał co trwoga kto pomni te czasy — starcy i matki pokryli się w łasy. Dzieci i matki błądziły tłumami, przy drodze na to patrzyłam ze łzami — a że mi dziecię zastąpiło drogę, do serca, płacząc, utulam jak mogę — pytam o imię, rodzinę, mieszkanie — ale daremna prośba i pytanie, dziecię zaledwie znało swoje imię! Ja matka niegdyś, pamiętna na Boga, wzięłam sierotę choć sama uboga — użyłam trosków, lecz była jej godna, wyrosła zdrowa, pracowna urodna — obiedwie teraz pracujem na siebie, w jednych żyjemy troskach i potrzebie!

Gdy swat Jan te słowa usłyszał, mocno się zdziwił i uradował. Ukorzył się w myśli przed Opatrznością, bo zaraz się domyślał, że ta Halina, którą wdowa dzieckiem w dom przyjęła, nie musi być inną, tylko córeczką Stanisławów, którą podczas wojny stracili. I tak też było w istocie! Rzekł Jan tedy:

— Ważne mi, ważne zwiastujecie rzeczy! Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma na pieczy — chwała mu wieczna! Miła gospodyni, niechaj z ufnością, co powiem, uczyni, bo z serca

idzie szczera moja rada: Uproście koni z wozem u sąsiada, a tę życzliwość hojnie mu wrócimy, bo wszyscy w drogę wybrać się musimy. Szczęścia wspólnego wybiła godzina, pozna Halinę Wiesława rodzina!

Zabrali się tedy i Wiesław i Jan i Halinę z swą opiekunką i przybyli w dom Stanisławów. Stanisławowie poznali w Halinie swą córkę i w radości dziękowali Bogu, który wszystkich uszczęśliwił.

Jak się witała rodzina złączona, jedno drugiemu oddając do łona, jakie pytania, dzięki, odpowiedzi, jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi, tego wam moi mili towarzysze — jakobym pragnął nigdy nie opiszę!...

Piękne przykłady.

Jan Maciąg.

Nie tak dawno temu, jak we wsi Dzikowice, w obwodzie rzeszowskim, żył kmieć jeden, nazwiskiem Maciąg. Miał ten Maciąg syna Janka. Janek, chłopak ciekawy, sprytny i pilny okazywał wiele zdolności, a w szkółce wiejskiej zawsze najlepiej się uczył.

Kiedy ukończył już trzy klasy w szkole wiejskiej, zapragnął biedaczek Janko jeszcze większej nauki i rwał się do książki, jak inne dziatki do figlów i zabawki. Ojciec widząc tę ochotę Janka do nauki, zdobył się na grosz ostatni i wysłał go do szkół do Rzeszowa. Janek na to jak na lato, wziął się do książki z całej siły i uczył się dniami i nocą. Stary Maciąg nie mógł mu doselać dużo pieniędzy na utrzymanie, więc Janek chudzina bywało o głodzie i chłodzie żyje, i chleba nie je, aby się ściągnąć na małą świeczkę do nocnej nauki.

Najciężej było z początku, ale jak podrósł, jak się poduczył, to już sam na siebie zarobić potrafił i ojcu kosztów oszczędzał. Otoż ten Janek, gdy przyjechał do ojca na święta lub wakacje, zawsze się litował nad tym biednym ludem wiejskim, z którego i on wyszedł, i nad jego ciemnotą, jak to

biedni chłopkowie dla braku nauki pomódz sobie w niczem nie mogą, ani w życiu, ani w gospodarce.

Razu jednego wyszedł on na pole, stanął sobie na wzgórku i patrzył, to na wioskę Dzikowiec, to na dalekie pola i westchnął i zapłakał!... Xiądz pleban, który właśnie przechodził tamtędy, zastał Janka ze łzami w oczach i pyta go:

— Janku, czemu ci tak markotno?

— Oj markotno mi, xięże dobrodzieju — rzecze Janek — markotno mi, gdy patrzę na nasze wioski i na nasze pola. Toż to Bóg miłosierny dał Polakom łany żyżne i urodzajne, ziemia święta kryje w sobie skarby prawdziwe, ale cóż kiedy nasz ludek nie umie z tego korzystać! Toć z tej ziemi dziesięć razy więcejby było plonu, gdyby nasi wieśniacy lepiej się znali na gospodarstwie, gdyby mieli naukę, gdyby wiedzieli, co im Pan Bóg dał w tej roli bogatej!

— Pięknie mówisz Janku — rzecze xiądz proboszcz — prawda to święta!

A Janek mówi dalej:

— Serce mi się kraje, gdy widzę biedę naszych kmieci, i gdy pomyślę, że mogłoby być lepiej, gdyby więcej było światła w ich umyśle. U obcych narodów gospodarstwo dziesięć razy więcej zysku przynosi, bo tam chłop każdy lepiej umie chodzić koło ziemi. W Niemczech, Francji, Anglji chłop jest bogaty a u nas w jakich nędznych lepiankach żyją, jak nędznie się karmią, a to nie z lenistwa, bo nasz wieśniak pracowity, jeno z braku oświaty!

Xiądz proboszcz jeno głową kiwał na mądre słowa młodego szkolarza, a szkolarz tak dalej prawił:

— Uczyniłem sobie ślub przed Bogiem, że jak się wyuczę, jak wyjdę na człowieka, to ani się żenić nie będę, ani po pańsku żyć, jeno na chlebie suchym poprzestanę a pieniądze zbierać będę na to, aby później zapisać to na polepszenie gospodarstwa w naszym kraju przez oświatę i naukę!

— Piękny to zamysł — rzekł xiądz proboszcz — niech ci Bóg błogosławi! Ja ci synu daję moje kapłańskie błogosławieństwo na wytrwanie w twych dobrych chęciach!

I ucałował Janka w głowę i pobłogosławił mu.

Dużo lat od tego czasu minęło. Jak Janek Maciąg zamyślał, tak się stało. Bóg mu dopomógł w nauce i pracy; został urzędnikiem z wielką pensją. Jan Maciąg dotrzymał też słowa, żył skromnie i ubogo, a grosz składał do grosza. — I oto przed śmiercią obliczył się z uzbieranemi pieniądzmi i było ich dwadzieścia tysięcy reńskich.

Inni urzędnicy, co byli razem z Janem Maciągiem dziwili się czemu on tak ubogo żyje, czemu sobie wszystkich przyjemności odmawia i szeptali, że on sknera i skąpiec wielki. Ale po śmierci Maciąga wszystko się pokazało. Gdy umarł, odczytano jego testament, a w tym testamencie było powiedziane, że uzbierane dwadzieście tysięcy reńskich zapisuje na szkoły dla gospodarzy wiejskich, aby się uczyli lepiej gospodarować na roli, i to tak: 10 tysięcy dla lwowskiej szkoły, a drugie 10 tysięcy dla krakowskiej. Procent z tej fundacji przeznaczył Maciąg na zapomogę dla czterech biednych chłopaków, którzy się będą uczyć gospodarstwa w szkołach rolniczych, których jest teraz dwie: pode Lwowem w Dublanach, i pod Krakowem w Czernichowie.

W tym zapisie takie słowa wypisał nieboszczyk Maciąg: „Ja niżej podpisany Jan Maciąg, zważywszy iż w Polsce naszej z natury rolniczej, rolnictwo jest głównem źródłem majątku, i dlatego powinno być dobrze pielęgnowane, zważywszy, że to rolnictwo u nas bardzo jest źle prowadzone, tak że w innych krajach rola, choć gorsza, więcej niesie, bo ją lepiej uprawiać umieją, a będąc przekonanym, że bez nauki żaden gospodarz, a osobliwie włościanin dobrze gospodarować nie umie, postanowiłem mój majątek, który przy pomocy Bożej przez pracę i oszczędność uzbierałem, zapisać na naukę gospodarczą, osobliwie między włościanami, do których pochodzeniem mojem należę, jako syn włościanina z Dzikowca, obwodu rzeszowskiego.“

Taki to szlachetny czyn spełnił ten Jan Maciąg! Wieczna mu pamięć za to u rodaków a piękny przykład dla innych!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Dwa dni ledwie minie, a obchodzić będziecie dzień radośny dla serc chrześciańskich, dzień narodzenia Zbawiciela, zasiądziecie w kole rodzinnem do świętej wieczerzy, łomać się będziecie po staropolskim zwyczaju święconym opłatkiem, a głos kolędy wesołej z chat dobywać się będzie aż ku niebieskiemu sklepieniu, ku gwiaździe wieczornej... W tym tak uroczystym czasie i my spieszymy z serdecznem powinszowaniem wesołych świąt i szczęśliwego roku Nowego! Daj nam Boże wszystkim szczęścia i powodzenia — a ojczyźnie, Polsce naszej kochanej, daj błogą dolę i swobodę! Bóg z wami i z waszą pracą kochani kmiotkowie!

Z tym numerem kończy się już półrocze Dzwonka. Przypominamy wam tedy, żebyście na nowo zapisywali to nasze pisemko. Dzwonek tyle kosztuje co zawsze: na cały rok 2 złr. — na pół roku 1 złr. Karteczki, w których macie przysełać pieniądze, jużeśmy wam przedtem posłali.

A teraz jeszcze taką do Was mamy prośbę.

Już długi czas mija, jak Dzwonek drukujemy dla waszej oświaty i zabawy a dotąd jeszcze nie tak dużo naszego ludu wiejskiego, jakby się to godziło, czyta go i zapisuje. Jest chwała Bogu dużo między ludem takich poczciwych gospodarzy, którzy pilnie zapisują Dzwonek i pilnie go czytają, ale więcej jeszcze jest takich, co wolą grosz tracić choćby na gorzałkę, a o pożytecznem czytaniu ani wiedzieć nie chcą. Oby i ci raz uznali, że w dzisiejszych czasach trudno i przy roli obejść się bez nauki i pożytecznych książek!

Prosimy was tedy wszystkich, którzy utrzymujecie i czytacie nasz Dzwonek, abyście i drugim waszym znajomym i sąsiadom doradzali to pisemko, które przecież nie wiele kosztuje, bo jeno 2 reńskich na rok, co wychodzi na tyle, jak nie całe dwie szóstki na miesiąc. Gdyby z was każdy, co już czyta Dzwonek, tylko jednego jeszcze namówił do zapisywania tego pisemka, to jużby z tego i dla ludu samego i dla Dzwonka wielki był pożytek, a dla was samych byłaby zasługa.

Aby tym, co jeszcze nie zapisywali Dzwonka zrobić ulżenie, takeśmy postanowili: ***Każdy, co jeszcze Dzwonka nie trzymał, a teraz go sobie zapisze na rok cały, otrzyma za to w dodatku 3 pierwsze tomy Dzwonka za 1 złr., to jest tak, że jak przyszle 3 złr. to i cały rok Dzwonek odbierać bedzie i jeszcze trzy pierwsze duże tomy otrzyma.*** To już tak prawie jak za darmo, bo i sam papier więcej kosztuje. Uwiadomcież też o tem Waszych sąsiadów!

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.

PRAKTYKI
SZYMKA Z DIABŁEM.

(Gawęda wieczorna.)

Przy ognisku do koła
Siedzi czeladź z robotą,
W tem gospodarz z za stoła
Tak się ozwie z ochotą:

„Czegoż cicho siedzicie,
Kieby mruki lub sowy?
Ej dziewuchy, wy śpicie,
Spróbójwa też rozmowy.“

Na wezwanie, na takie,
Powstał Szymek najprzódy.
„Oto powiem, rzekł, jakie
Miałem z djabłem przygody.“

Furkły żwawiej wrzeciona,
Każdy ucha nadstawił,
I skurczywszy ramiona,
Na miejscu się poprawił.

Szymek fajkę nałożył,
Dobył z ognia węglika,
I na fajce położył,
I przykrywką zamyka.

Potem usiadł na ławie,
Rękę za pas zakłada,
Czeladź słucha ciekawie,
A on tak jej powiada:

„Raz po śmierci Macieja
Nieboszczyka, mojego
Brata a kołodzieja,
I sąsiada dobrego,



z Litografii M. Jabłonskiego we Lwowie — J. Gołębiowski rys.



Śniło mi się — kiej było?
To już teraz niepomnę,
Dość że mi się raz śniło,
Co nigdy nie zapomnę,

Że byłem gdzieś za Wisłą,
I śpię sobie na stogu,
W tem zagrzmiało — zabłysło —
Aż nieboszczyk przy brogu!

Ja mu mówię: Macieju!
Ponoście wy umarli?
A on mnie: „Dobrodzieju!
Żebyście mnie wy wsparli.“

Nie trzeba wam powiadać,
Człek za brata swojego,
Skoczy, choćby gardło dać,
I do piekła samego.

Więc ja mówię: człowiecze!
I czegoż wy żądacie?
A to do mnie tak rzecze,
(Cóż wy na to pedacie)?

„Sważyłem się ze żoną,
O czeladkę nie dbałem
Schowałem rzecz kradzioną,
Do wróżki też biegałem.“

„Nie zważałem choć biéda,
Choć sąsiedzi łajali,
Piłem parę u żyda,
I djabli mię porwali!“

Najświętsza panieneczko,
Ratujże mię w potrzebie!
W tem się budzę — słoneczko
Prawie zeszło na niebie.





Co tu robić? hej! gody
Sprawię ja wam, wy bisy!
Więc święconej łap wody,
Chlust do dzbanka z pół misy.

Więc niebawem wianeczki
W koło siebie opaszę,
Nuże świętej kredeczki,
Płucienicę zakaszę;

Przyobułem hodaczki,
A że Salka chleb piekła,
Wziąłem ze dwa bochnaczki,
Ha; i idę do piekła.

Ha, idę, idę — piekło!
O źle chłopcy! maź śmierdzi.
Już w podeszwy zapiekło,
A wszystko się tak sierdzi!

Choć mam w ręku siekierkę
I świętości — drzę cały!
Aż mi włosy magierkę
Het do góry wypchały!

Wtem jak skoczy z rogami
Jak nie schwyci za ramię,
Jak nie zgrzytnie zębcami:
„A czego ty tu chcesz hamie?“

Ja zaś kredy dobywszy,
Jak mu zatrę nią czuba,
A za rogi złapiwszy:
Prowadź do belzebuba!

Zjadł śledzia! idziem oba,
Wchodzę w piekło, o ludzie!
A cóż tu za żałoba!
Aj, gwałtu, rety, cudzie!



J. Gołębiowski rys.



J. Gołębiowski rys.

Pisk, syk, zgrzyt, huk, jęki —
A tu djabli maź palą,
Wydrzeźniają paszczęki,
Pieką, gryzą, klną, smalą.

Tu duszyczki niebogi
Wyglądają z otchłani,
A u każdej już rogi,
Moi ludzie kochani!

A tu żarem osuty,
Z ogoniskiem jak żmija,
Na łańcuchu przykuty
Spi Ancykryst bestyja!

Hej! dalej do świętości,
Do wianeczek, kropidła;
Jak nie lunę we złości:
Hej wy diabli straszydła!

W imie ojca i syna,
Hej! na łoże Madeja
Zaklinam cię, gadzina!
Oddaj brata Macieja.

W tem lucyper zawoła:
„Łapcie duszę tę hamią!“
Obstępują do koła,
Syczą, tymanią, mamią.

Ale jak ja, mospanku,
Nie zacznę się uwijać,
Jak nie zmaczam we dzbanku,
Jak niepocznę wywijać!

„Stój! stój!„ woła belzebub,
„Stój! bo piekło mi spalisz!
Bój się Boga! mnie nie gub,
Skurę na mnie opalisz!“





Oddaj brata Macieja,
Ty przyklęta gadzina!
Oddaj mi kołodzieja.
W imie Ojca i Syna —

„Już, już“ — woła — „dam brata,
Tylko przestań mordować.
Ale wprzód się, do kata!
Musisz ze mną spróbować.“

„Jeżli wygrasz, widzibóg
Oddam brata Macieja,
Jeżli przegrasz, dalibóg,
Areszt na dobrodzieja.“

O matko częstochowska,
Dyć tu nowa przygoda!
Ha, dziej się wola boska.
Spróbójwa się — no, zgoda!

Stanęliśmy na polu,
Na ogromnej płaszczyznie.
No ty chłopie grondolu,
Kto z nas lepiej zagwiźnie?

Jak zagwiznął — ej Chryste!
Aż bory zaszumiały,
Aże liście naczyste
Z konarów obleciały.

Gwiznąłeś — oto szmata,
Zawiąż sobie nią oczy,
Bo jak gwiznę, do kata!
To ci ślipie wyskoczy.

Miałem w ręku buczaka,
Jak go gwiznę za ucho!
„Aj! ty chłopie sobaka,
Zgłuszyłeś mię psiajucho.“


J. Gołębiowski rys


J. Gołębiowski rys.

„Poczekaj, zjesz mi grzycha,
Przecie djabeł mocniejszy.
Spróbójwa się, u licha,
Kto znas w ręku silniejszy?“

Jak wziął kamień do garści,
A kamień nie mielizna,
Jak ścisnął łapą, ażci
Pokruszył go do izna.

O niepeć! co tu robić?
Czart mi prawił przechwałki.
Ha, trza sztuką nadrobić—
Wziąłem séra z koszałki.

Jak uchwycę w paluchy:
Idź mazgaju do piekła,
Z tamtego masz okruchy,
Z tego — woda pociekła!

Jacy skrobnął się w głowę.
„No, ty chłopie, zawoła,
A kto prędzej na zmowę
Obieży świat do koła?

Przepraszam dobrodzieja,
Niemogę się próbować,
Ja mam brata Macieja,
Muszę go tu pilnować.

„Nic, niestójwa, niepytam,
I brata niedostaniesz,
I za duszę twą chwytam,
Jak na to nieprzystaniesz.“

O źle! widzę czart zdziwia;
Jak mu się tu wywinąć?
Co sprostuję to skrzywia,
Trza się jakoś podwinąć.


J. Gołębiowski


J Gołębiowski rys:

Słuchaj — ja tu mam z sobą,
Widzisz? kuma mojego,
Ten sprobuje się z tobą.
Cóż? przystaniesz na niego?

A ja, trza wiedzieć, miałem
Dwa w koszyku zające,
Co je idąc schwytałem
Pode dworem na łące.

Więc jednego mu niby
Pokazuję z koszyka.
Panie diable — jeźliby —
Pędź! bo kmoter umyka.

Czart w nogi — zając w nogi.
Hej, jak pójdzie na puste,
Na rozstajne bis drogi,
Zając — prosto w kapustę.

Aż tu niewyszło panie
I pół zdrowaśmaryję,
Ja chcę wytchnąć na sianie,
Masz tam diabła bestyję!

Sciarany, zatałapany,
Jeden róg zbił, nos zwiesił.
Cierniakami zorany,
Jaże jęzor wywiesił.

„Ha! przecie cię mam teraz!
Oddaj duszę, ty smyku!“
O ba! mówię — nie zaraz!
A widzisz ty w koszyku?

Oddaj brata Macieja!
„Nic, nieprawda nie stójwa,
Jeżli chcesz kołodzieja,
Jeszcze się raz sprobójwa.“

„Kto z nas wyżej wyciśnie?“
Wziął zaporę od piekła,
Jak nią szmargnie, aż świśnie,
Aż do nieba uciekła!

Patrzę — leci het na sztych.
Już godzina — o bidać
O zaporze ani słych!
I niewidać — niewidać —

Bęc! nareszcie na ziemię .
„Tak rzucają! rozumiesz?
No ty chłopskie tam plemię,
Pokaż teraz co umiesz?“

Dajno ją tu! — więc trzonko
Niby z bliska oglądam,
A tymczasem na słonko
Kiej to niekej poglądam.

„Rzucaj maźlej!“ czart drze się,
„Bo cię z duszę z pośpiechu.“
A ja w słonko patrzę się,
I zawołam: Wojciechu!

„A czego to wołacie?“
Czart się ku mnie pomyka.
O, ciekawyś mój bracie,
Daj-no uciąć języka.

Widzisz słonko, co gore? —
Jest to kowal, brat nowy,
Wyrzucę mu zaporę,
Porobi z niej podkowy.

„Aj! ty chłopie gamonie,
Wystrychnąłbyś rzecz piękną,
Bój się Boga, Szymonie,
Dyć mi diabli uciekną!“



J. Gołębiowski rys.



J. Gołębiowski rys.

Oddaj brata Macieja,
Ty przyklęta gadzina,
Oddaj mi kołodzieja —
W imię Ojca i Syna —

Wtém zaporę wyrwało,
Ledwo com się zadumiał,
Jużci się gdzieś podziało,
Tylko wicher zaszumiał.

W tem za ramię zackliwy,
Obzieram się co duchu,
Aż tu moi poczciwy,
Stoi Maciej w kożuchu!

Więc ja go w pół schwytałem:
A witajże mój bracie! —
No, gadkę powiedziałem,
I cóż za to mi dacie?

SKRZYPKI.

1.

Jak się macie kumotrze, co tam u was słychać?

2.

Tak to tam, człowiek ledwo że może oddychać.

1.

Wszędzie to tak podobno, cóż tam więcej przecie?

2.

Wszystko jedność — jak to tam dziś u nas na świecie,
Deszczu niema, jarzyny coś się nam nieznaczą,
Przyjdzie może i skapnąć, jęczmiona ladaco.

1.

Ej dobryć i Pan Jezus, ja mam w nim nadzieję,

2.

Ha, niech się tam i zresztą jego wola dzieje. —
Z kąd idziecie?

1.

A z miasta.

2.

Coście tam sprawili?

1.

Poniósłem ćwiartkę żyta, żydzi ją kupili.
A wy z kąd?

2.

Ja do dwora zanosiłem grzybki,
A po drodze wstąpiłem pod kościoł po skrzypki,
Do organisty, com mu dał w reparacyą,
Bo mi czerwy pojadły już aplikacyą.

1.

A wzięliście je?

2.

A wziął.

1.

A gdzież wy je macie?

2.

A sprzedałem na drodze.

1.

Cóż wy to pedacie?

2.

Wierzcie albo nie, jeszcze żebyście wiedzieli:
Za siła je sprzedałem, tobyście zgłupieli.
Widzicie wy, pieniądze grube, nie maluśkie?

1.

O jak się biedy boję! a dyć to bieluśkie!

2.

Ino chciejcie wysłuchać całej historyi.
Wyszedłem dziś na pole, wedle plebanii
Już idę, jak to wiécie, w bok maćkowej gruszki.
Myślałem właśnie czem tu opłacić podatek?
Nie trza wam pedać — żona — i kilkoro dziatek.
A skrzypce wystajały pod pachą z łoktuszki,
Wtém idzie jakiś człowiek, w płaszczu - dobre buty!
A miał w garści kij tęgi, na końcu okuty.

Nie trza wam pedać, człowiek nie lada się boi,
Ale mi ta landryga dotąd w myśli stoi,
Chłop człeku, jak linija! — „Pochwalony!“ —
Na wieki! — a na wszyćkie oglądam się strony,
Czy ludzie gdzie są blisko? — a to do mnie rzecze:
„Ojcze, skrzypki na sprzedaj? sprzedajcie człowiecze.“
Nie trza wam pedać, człowiek nie łakomy grosza,
A on panie, dobywa skurzanego trzosa,
I obces tka ci w rękę: „cóż ojcze, nie mało?“ —
Panie! aż mi na ręku śrybło zaciężało!
Ja się mu sumituję, że to już grat stary,
A on panie, dokłada jeszcze trzy talary!
Nie trza wam pedać, że to nie lada trafunek;
Żeby tylko z tąd jaki nie urósł frasunek.
Wiecie, trza to naszemu panu w ucho włożyć.

1.

Wiecie? lepiej to będzie między nami pożyć.
Nie wstąpicie? — bo karczma.

2.

Nie trza sy szkodować.

1.

Ha, to zostajcie z Bogiem.

2.

Ha, to Boże was prowadź.

JANEK I STASZEK.

(powiastka gminna.)

„Tak się zaś niebo zabańduczyło,
Kupi się chmura do chmury,
Wszystkie jak smoła, aż mi niemiło,
Spojrzyjno Staszek do góry.“

„ „Bójże się czego,“ “ — Staszek na Janka,
Schylon ku ziemi zawoła,
Jeszcze i niemasz połowy dzbanka,
A z czemże wrócisz do sioła?“

„Porwonoć licho i z dzbankiem całym,
Byle nie na mnię lunęło.
Widzisz — a słowo słało się Ciałem —
Jak się to na krzyż łysnęło!“ —

„ „Ha! ha! ha! czarci korce mierzają,
Już ćwierć ziemniaków nasuli;
A pódźże, pódźże, kiej cię strachają,
Niech cię matusia utuli.“ “



Ig. Gołębiowski rys.



Ign. Gołębiowski rys

Wybiegli z lasu, dalej krzakami,
Teraz przez błonia, pasieką,
Potem krzemieńcem i potokami,
A mieli jeszcze daleko.

A w chmurze huczy jak na organach,
A cała chmura jak w łunie,
Już i po bliskich kurzy się łanach,
W tém jak z cebra na nich lunie.

Gdzie tu uciekać? tam jakieś drzewo,
Ledwie dostrzegli go okiem,
Nuż na wyścigi, w prawo i w lewo,
Pędzą ku niemu poskokiem.

Stanęli oba pod wielkim bukiem,
Bije straszliwa ulewa,
Co łyśnie piorun uderza z hukiem —
Lecz Staszek gwiżdże i śpiewa.

Spiewa i gwiżdże, udaje zucha,
Zaś Janek ręce złożone
Wznosząc ku niebu a z niemi ducha,
„Pod Twoją, mówi obronę.“ —

„ „O módl się, czekaj, i ja się będę,
Ale inaczej, mospanku,
Niech no ja najprzód jagód dobędę —
Patrzajże teraz — ty — Janku!“ “

I w Imię Ojca i Syna Jego —
Dzbanek do czoła przymierza,
Jeszcze nie skończył: Ducha świętego —
Wtém piorun w niego uderza.

Płakał pobożny brata chłopczyna,
Ojcowie także płakali,
Zaprzęgli woły, powieźli syna,
I dnia trzeciego schowali.

GAWĘDA MYŚLIWSKA.

Z przeproszeniem waszmościów jak tutaj siedzicie,
Może wy tam nie łatwo temu uwierzycie,
Ale powiadam, niech się tu z miejsca nie ruszę,
Że wychodząc zaz z lasu — tak też szaro było,
Kiedy? to chyba później przypomnieć już muszę,
Mróz diabli! jakby dzisiaj, tylko się iskrzyło!
Do pulwersaka — nie ma! — o to panie ładnie!
O do milion diabłów! nuż tu co wypadnie!
Wtem — ajajaj! ciach! ciach! — hoho! ciachu! ciachu!
Chodźmy w lasy! chodźmy w góry!
Bo tam bieży szarobury,
Będzie nasz! nasz! nasz!
Psom skoki,
Panom boki,
A strzelcowi łeb! łeb! łeb! —
Pęc! — „na tu! tu! — pilnuj tam! „woła — ja w strachu"
A tu moje psy znowu: rachu! rachu! rachu!

Ja tu — ledwo mi z złości nieupadną ręce,
Dalej do strzelby, gdzie tam? darmo torbą kręcę —
Coś przecie — jest gwóźdź! tedy pakuję do rury,
Patrzę, lis bestyja kitę postawił do góry,
Pędzi, ja tu — wnet — ja tu — składam — łup! i cicho.
O do bisa,
Nie ma lisa!
Czy licho?
Szukam — tędy — owędy — sak — w spak
miejsca skryte,
Obchodzę wszystkie w koło, już odchodzę z żalem:
Aż tu fortunę casu za czerwoną kitę
Mój pan lis do buczaka przybity bretnalem!

Słuchajcież — to nic jeszcze — tak też szaro było,
Mróz diabli! jakby dzisiaj, wtem czy mi się śniło,
Czy też ktoś tam naprawdę zagadał o wilku,
Dość że we świtanie
Wybieramy się na polowanie.
Już to ja! pan ten — dosyć, było nas tam kilku.
Ledwie wnijdę do kniei, Grzmilas obces wpada,
Ja na przesmyk — w tem, słucham, na miejscu ujada.



T. Gołębiowski rysował



w Lit. R. Jast

Co to ma znaczyć? podstępuję blisko,
Aż tu bartnik niedźwiedzisko
Wlazł na drzewo i smacznie miód leśny zajada.
Więc ja rurę
Prosto w górę,
I wypalę.
Lecz po strzale
Dym mię w oczy palnął kłębem,
Lufa w kafel, że nie wiem jak tam z moim zębem,
Ćmi się w oczach, a niedźwiedź z drzewa się nie wali,
Choć był prosto nad lufą o jakie sześć cali!
O do sto tysięcy!
Jakimże on znikł z oczu sposobem zdradzieckim?
Szukam tedy niedźwiedzia wszędy jak ze świeczką,
Krętu wętu, tymczasem zwyczajem strzeleckim,
Dmuchnę w lufę — nie idzie! do zamku z przetyczką,
Aż tu — niechże to waszmość uszu nie obrazi —
Straszne niedźwiedzia łapsko zapałem wyłazi!
W lufę wpadł i nic więcej!
Jeźli nie wierzycie,
Z przeproszeniem waszmościów, jak tutaj siedzicie,
Oto go pod tym szarym kubrakiem widzicie!

SPIEWKA CZAROWNICY.

Ongi był parobek,
Co mu było Sobek,
Kochała go Kasia,
Franusia i Basia.
A Kasia zuchwała,
Nie długo chowała,
O zimowym chłodzie
Utopiła w wodzie.
Hi! hi! hi! hi!

Przez drewnianą kłodę
Szła Kasia przez wodę,
Aż tu z wody prąda
Z pod lodu wygląda,
Wygląda nóżeczka,
Z mokrego łużeczka,
I woła: chrztu! chrztu! chrztu!
Hi! hi! hi! hi!

Na ławie u kmieca,
Stoi koło pieca,
Zdaleka od Bozi,
Ojcu palcem grozi,
Stoi przy okapie
I za nogi łapie,
I woła: chrztu! chrztu! chrztu!
Hi! hi! hi! hi!

NAWJĘDZONA. *

Ach! ach! niemogę się ostać,
Nigdzie w miejscu dostać,
Coś mię od wsi do wsi pędzi,
Coś mi zawsze w duszy zrzędzi.

Porzuciłam chatkę,
W niej z dostatkiem matkę,
Nawet własne dziatki.
Ubrałam się w kwiatki,
Niosąc w ręku piwonią,
Tak z odkrytą głową, szyją,
Chodzę, chodzę, chodzę —
Zawsze w drodze! zawsze w drodze!

---

*) Między wiejskim ludem pojawiają się czasem kobiety tak zwane n a w i e d z o n e, które, czy to fizycznie czy umysłowo cierpiące, dość że w dziwnym znajdują się stanie. Ich głównym znamieniem jest to, iż w ciągłej są podróży,

Nie śmiéjcie się ze mnie
Kąpałam się w Niemnie,
Kąpałam się w Wiśle,
Świętą krédą kreślę
Różne gusła i odczyny —
Ach! za jakież grzechy, winy,
Że nic nie pomoże? —
O mój Boże! o mój Boże!

Idę polem i ugorem,
Wschodem słońca i wieczorem,
I na bory, i na lasy,
I przez łąki cudnej krasy.
Zwiedzam grody, miasta, sioła.
Idę ziemią, płynę wodą,
Lecz głos jeden ciągle woła,
Jedne myśli wciąż mnie wiodą,
Jedna dręczy wciąż tęsknota!
Szydzą ludzie — bije słota.

---

utrzymując, że jakiś głos wewnętrzny, niepokojący nigdzie im spocząć i długo na miejscu zatrzymać się nieda. Chodzą więc od wsi do wsi, często w takich pielgrzymkach w dalekie zupełnie im obce zapuszczają się strony. Smutek i bezsenność, jak mówią, trapi ich ciągle. Dość jest spojrzeć, by w nich dostrzedz tak moralne jak fizyczne cierpienie.



Idę polem i ugorem,
Wschodem słońca i wieczorem,
I na bory i na lasy,
I przez łąki cudnej krasy.
Schodzę grody, miasta, sioła,
Idę ziemią; płynę wodą.
Lecz głos jeden ciągle woła,
Jedne myśli wciąż mię wiodą,
Jedna dręczy wciąż tęsknota,
Szydzą ludzie .... bije słota!

Któż tu chory? mówcie proszę,
Bo ja z sobą leki noszę.
Znam ja różne czary, zioła,
Leczę ludzi schodząc sioła.
To na gościec, to na rany,
Na świętego Wita tany,
To na głowę, kiedy boli,
Znow na kolkę, kiedy koli.
To na pomór na oborze,
To gdy dziécie spać nie może.
Któż tu chory? mówcie proszę,
Bo ja z sobą leki noszę.

Gdyście zdrowi, nic niechcecie,
Więc zostajcie z Panem Bogiem!
Więc się żegnam z waszym progiem,
Aby chodzić znów po świecie!
Lecz nim pójdę, posłuchajcie,
Moi ludzie — kwiatów dajcie!
Bo te zwiędły, co mam w dłoni.
A nie kwitną już na błoni.
A mieć muszę kwiaty świeże,
Czy to wiosna, czy mróz bierze,
Ach! me kwiaty, kwiaty u mnie,
Jak na zmarłej dziewki trumnie!
Bo choć chodzę — jam nieżywa,
Ach! jam bardzo nieszczęśliwa!
Zli mi ludzie uczynili,
Spiącej czary podłożyli,
Szczarowali, opętali,
Bądźcie zdrowi! — idę dalej.